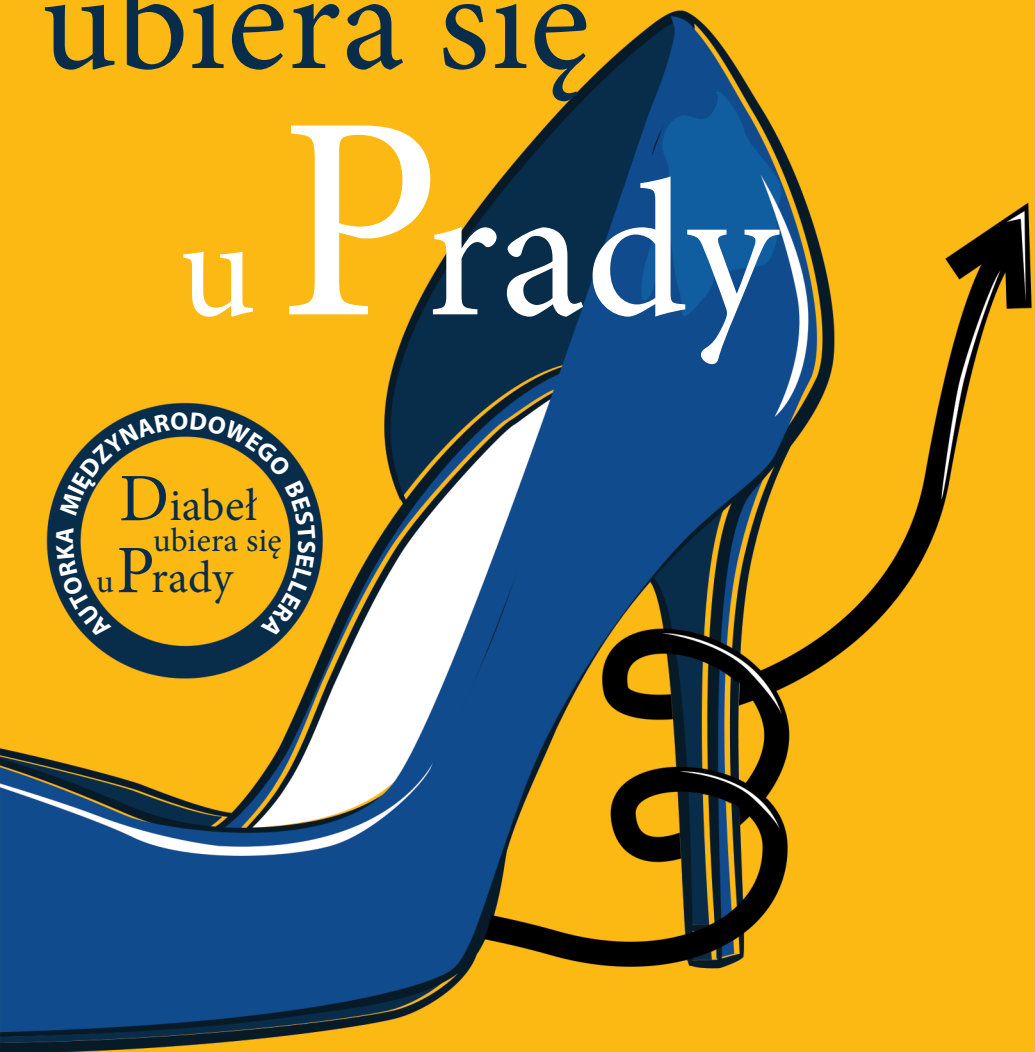


Zemsta ubiera się u Prady



LAUREN WEISBERGER

1

Nawet na końcu świata

Deszcz, zimny i bezlitosny, padał ukośnie, zaciął, a wiatr chlustał ścianami wody ze wszystkich stron, tak że parasolka, płaszcz nieprzemakalny i kalosze były zupełnie bezużyteczne. Nie żeby te rzeczy miała. Warta dwieście dolarów parasolka Burberry nie chciała się otworzyć i w końcu, gdy Andy spróbowała otworzyć ją na siłę, wywinęła się na drugą stronę. Kurtka z króliczej skórki z dużym kołnierzem bez kaptura cudownie opinała ją w talii, lecz ani trochę nie chroniła przed przejmującym zimnem, a nowiutkie zamszowe czółenka od Prady, owszem, cieszyły oczy makowo-cyklamenowym kolorem, ale miała w nich prawie całkowicie odsłonięte stopy. Mimo obcisłych skórzanych legginsów czuła się naga od pasa w dół, bo na tej niemiłosiernej wichurze skóra chroniła ją mniej więcej tak jak jedwabne pończochy. Czterdzieści centymetrów śniegu, który otulił Nowy Jork, zaczynało się już topić i zmieniać w rozmokłą szarą breję i po raz tysięczny pomyślała, że wolałaby mieszkać wszędzie, byle nie tutaj.

Jakby dla podkreślenia tej ostatniej refleksji przejeżdżająca na żółtym świetle taksówka ryknęła klaksonem, dając jej do zrozumienia, że każda próba przejścia przez jezdnię jest ciężkim przestęp-

stwem. Z trudem powstrzymując się przed pokazaniem taksiarzowi środkowego palca – w dzisiejszych czasach wszyscy są uzbrojeni – Andy zacisnęła zęby, posyłając mu w duchu wiązanek. Zważywszy wysokość jej obcasów, następne dwie, trzy przecznice pokonała w dość dobrym tempie. Pięćdziesiąta Druga, Pięćdziesiąta Trzecia, Pięćdziesiąta Czwarta... Już niedaleko i zanim popędzi z powrotem do redakcji, zdąży się troszkę ogrzać. Pocieszała się myślą o gorącej kawie, a może nawet – ale tylko może – o czekoladowym ciasteczku, gdy nagle usłyszała ten dźwięk.

Skąd dochodził? Rozejrzała się ukradkiem, ale wyglądało na to, że przechodnie go nie słyszeli. Tymczasem dźwięk z każdą sekundą przybierał na sile. Drrrryń! Drrrryń! Ten charakterystyczny dzwonek. Rozpoznałyby go zawsze i wszędzie, nawet na końcu świata, chociaż była zaskoczona, że wciąż produkują telefony, które tak dzwonią. Tak dawno go nie słyszała, mimo to... wszystko wróciło z siłą lawiny. Wiedziała, co zobaczy, zanim jeszcze wyjęła komórkę z torebki, mimo to była wstrząśnięta, widząc na ekraniku dwa słowa:

MIRANDA PRIESTLY

Postanowiła nie odbierać. Nie mogła. Wzięła głęboki oddech, nacisnęła przycisk „Odrzuć” i schowała telefon do torebki. Niemal natychmiast zadzwonił znowu. Jej serce biło coraz szybciej i szybciej, brakowało jej tchu. Wdech, wydech, nakazała sobie w duchu, wtulając policzek w zagłębienie ramienia, by ochronić twarz przed deszczem, który siekł teraz na przemian ze śniegiem. Wdech, wydech, i dalej, idź dalej! Od restauracji dzieliły ją tylko dwie przecznice – neon skrzył się w oddali jak ciepła, migotliwa obietnica – gdy wyjątkowo paskudny podmuch wiatru pchnął ją tak mocno, że straciwszy

równowagę, wdepnęła prosto w najgorszy element manhattańskiej zimy: w czarną kałużę błota, soli, śmieci i Bóg wie, czego jeszcze, bajoro tak brudne, zimne i szokująco głębokie, że nie pozostawało jej nic innego, jak tylko skapitulować.

Co też zrobiła, tam, w tej piekielnej sadzawce, która rozlała się między jezdnią i krawężnikiem. Przez dobre trzydzieści czy czterdzieści sekund z wdziękiem flaminga stała w niej na jednej nodze, zgrabnie unosząc drugą i zastanawiając się, co dalej. Przechodnie omijali szerokim łukiem ją i to koszmarnie jeziorko; tylko ci w wysokich kaloszach mieli odwagę przejść przez sam środek. Ale nikt jej nie pomógł, nikt nie podał ręki i zdawszy sobie sprawę, że bajoro jest zbyt szerokie, by dała radę je przeskoczyć, przygotowała się na kolejny wstrząs i postawiła lewą nogę obok prawej. Momentalnie załała ją lodowata woda, zatrzymując się w połowie łydki i pochłaniając przy okazji czółenka wraz z trzynastoma centymetrami skórzanej nogawki. Andy o mało się nie rozpląkała.

Buty i legginsy były zniszczone i czuła się tak, jakby zaraz miały odpaść jej odmrożone stopy. Żeby wydostać się z bajora, mogła tylko brnąć przed siebie; w jej głowie kołatała się jedna myśl: oto, jaka kara czeka cię za to, że nie chciałaś rozmawiać z Mirandą Priestly.

Ale nie było czasu na załamywanie rąk, bo kiedy tylko dotarła do krawężnika i przystanęła, żeby ocenić straty, telefon zadzwonił po raz trzeci. Bezcelnością – ba, nieroztropnością – było już samo to, że odrzuciła pierwsze połączenie. Nie mogła odrzucić drugiego, po prostu nie mogła. Bliska płaczu, ociekając deszczem i drząc z zimna, stuknęła palcem w ekranik i powiedziała „halo”.

– Ahn-dre-ah? Czy to ty? Wyszłaś wieki temu. Spytałem cię tylko raz. Gdzie. Jest. Mój. Lunch? Nie zamierzam dłużej czekać.

Oczywiście, że to ja, pomyślała Andy. A myślałaś, że kto? Przecież wybrałaś mój numer.

– Przepraszam. Na dworze jest naprawdę strasznie i robię, co mogę, ale...

– Masz natychmiast wracać. To wszystko. – I zanim Andy zdążyła cokolwiek dodać, Miranda rozłączyła się.

Nic to, że w butach obrzydliwie chlupocze woda, nic to, że w tak wysokich szpilkach trudno chodzić nawet wtedy, gdy są suche, nic to, że deszcz zaczyna zamarzać i chodnik z każdą sekundą robi się coraz bardziej śliski: Andy puściła się biegiem. Przebiegła sprintem przez skrzyżowanie i do pokonania została jej tylko jedna przecznica, gdy usłyszała, że ktoś ją woła:

– Andy! Andy, stój! Zatrzymaj się!

Rozpoznałaby ten głos zawsze i wszędzie. Max. Ale co on tu robił? Przecież wyjechał na weekend na północ stanu, chociaż nie mogła sobie przypomnieć po co. Wyjechał? Zatrzymała się, odwróciła i poszukała go wzrokiem.

– Andy, tutaj!

Wtedy go zobaczyła. Jej narzeczoną, mężczyznę o surowej męskiej twarzy, gęstych ciemnych włosach i przeszywających zielonych oczach, siedział okrakiem na wielkim białym koniu. Nie przepadała za końmi, odkąd w drugiej klasie spadła i złamała sobie rękę w nadgarstku, ale ten sprawiał wrażenie łagodnego. Nieważne, że Max jechał na białym rumaku w centrum Manhattanu, w dodatku w szalejącej śnieżycy – była tak zachwycona jego widokiem, że nawet jej to nie zastanowiło.

Max zsiadł z wprawą doświadczonego jeźdźcy i Andy próbowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wspomniał, że gra w polo. Zrobił trzy długie kroki, stanął u jej boku i gdy wziął ją w najcieplejsze, najbardziej rozkoszne objęcia, jakie tylko mogła sobie wyobrazić, momentalnie się odprężyła i padła mu w ramiona.

– Moja biedna dziecina – wymruczał, nie zwracając uwagi ani

na konia, ani na gapiących się przechodniów. – Przemarzałaś do szpiku kości.

Gdzieś między nimi znowu zadzwonił telefon – ten telefon! – i Andy szybko sięgnęła do torebki.

– Ahn-dre-ah! Powiedziałaś „natychmiast”. Nie wiem, której części słowa „natychmiast” nie rozumiesz, ale...

Piskliwy głos Mirandy świdrował ucho i Andy znowu zaczęła się trząść, ale zanim zdążyła poruszyć choćby jednym mięśniem, Max wyjął komórkę z jej ręki, stuknął palcem w ekranik, po czym rzucił telefon za siebie, trafiając idealnie w sam środek kałuży, która przed chwilą z taką zachłannością wessała jej stopy.

– Już z nią skończyłaś, kochanie – powiedział, otulając ją dużą puchową pierzynką.

– Omójbóże, Max, jak mogłeś to zrobić? Jestem strasznie spóźniona! Nie byłam jeszcze w restauracji i Miranda mnie zabije, jeśli zaraz nie wrócę z...

– Ciii... – szepnęła, przykładając dwa palce do jej ust. – Już nic ci nie grozi. Jesteś ze mną.

– Ale jest już dziesięć po pierwszej i jeśli nie przyniosę jej...

Max wziął ją pod pachy, bez najmniejszego wysiłku dźwignął z ziemi i łagodnie posadził po damsku na białym koniu, który jak wspomniał, na imię miał Bandyta.

Ona, wstrząśnięta i milcząca, po prostu siedziała, a on zdjął jej przemoczone czółenka i rzucił je na chodnik. Z marynarskiego worka – z którym nigdy się nie rozstawał – wyjął jej ulubione wyściełane futerkiem kapcie-botki i delikatnie wsunął je na jej przemarznięte czerwone stopy. Otulił jej kolana pierzynką, głowę owinął swoim kaszmirowym szalikiem, opatulił szyję, po czym podał jej stalowy termos ze specjalnie, jak zaznaczył, wyselekcjonowaną gorącą czekoladą. Jej ulubioną. Potem jednym imponująco

płynnym ruchem wskoczył na konia i ujął wodze. I zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, ostrym klusem ruszyli Siódmą Aleją, poprzedzani przez policyjną eskortę, która torowała im drogę wśród samochodów i pieszych.

Co za ulga – było jej ciepłutko i czuła się kochana, mimo to wciąż nie mogła otrząsnąć się z paniki, że nie wypełniła przydzielonego jej przez Mirandę zadania. Wyleci z pracy, to nie ulega wątpliwości, ale co będzie, jeśli nie skończy się tylko na tym? Co będzie, jeśli Miranda wścieknie się tak bardzo, że wykorzysta swoje nieograniczone wpływy, by sprawić, żeby Andy już nigdy nie dostała innej pracy? Jeśli postanowi dać swojej asystentce nauczkę i pokazać światu, co się dzieje, kiedy ktoś porzuca pracę u niej, u słynnej Mirandy Priestly, w dodatku nie raz, tylko dwa razy?

– Muszę tam wrócić! – krzyknęła pod wiatr, gdy klus przeszedł w galop. – Max, zawróć! Nie mogę...

– Andy! Kochanie, słyszysz mnie? Andy!

Otworzyła oczy. Jedyną rzeczą, jaką czuła, było dudnienie szybko bijącego serca.

– Już dobrze, skarbie, nic ci nie grozi – powiedział łagodnie Max, dotykając jej policzka chłodną ręką. – To był tylko sen. I z tego, co widziałem, naprawdę paskudny.

Andy podparła się łokciami i zobaczyła poranne światło wpadające przez okno do pokoju. Nie było ani śniegu, ani marznącej brei, ani konia. Stopy miała bose, ale ciepłutkie pod elegancką, mięciutką jak puch pościelą, i czuła bezpieczny dotyk silnego ciała Maxa. Głęboko wciągnęła powietrze i doszedł ją jego zapach, zapach jego oddechu, skóry i włosów.

To był tylko sen.

Rozejrzała się. Obudziła się zbyt gwałtownie i wciąż była zaspana i trochę zdezorientowana. Gdzie oni są? Co się tu dzieje? Zerk-

nęła na drzwi, na których wisiała świeżo odprasowana, absolutnie fantastyczna suknia ślubna od Monique Lhuillier, i dopiero wtedy przypomniała sobie, że ten obcy pokój to apartament dla nowożeńców – jej apartament – i że panną młodą jest właśnie ona. Jest panną młodą! Nagły przypływ adrenaliny kazał jej usiąść tak szybko, że zaskoczony Max wykrzyknął:

– Co ci się śniło, kruszynko?! Mam nadzieję, że nie nasz ślub!

– Nie, nie, stare koszmary. – Nachyliła się, żeby go pocałować, ale wcisnął się między nich Stanley, ich małtańczyk. – Która godzina? Zaraz. Co ty tu robisz?

Max posłał jej szelmowski uśmiech, który tak uwielbiała, i wstał z łóżka. Jak zwykle nie mogła się powstrzymać i popatrzyła z podziwem na jego szerokie ramiona i płaski brzuch. Miał ciało dwudziestopięciolatka, tyle że ładniejsze, nieprzesadnie umięśnione, jędrne i wysportowane.

– Szósta – odparł, wkładając flanelowe spodnie od piżamy. – Przyszedłem dwie godziny temu. Czułem się samotny.

– To lepiej uciekaj stąd, zanim ktoś cię zobaczy. Twojej matce bardzo zależało na tym, żebyśmy nie widzieli się przed ślubem.

Wyciągnął ją z łóżka i objął.

– To nic jej nie mów. Nie zamierzam spędzać całego dnia bez ciebie.

Udała, że jest poirytowana, ale w głębi duszy cieszyła się, zwłaszcza w świetle nocnego koszmaru, że Max zakradł się do niej na krótkie przytulanki.

Teatralnie westchnęła.

– No dobrze. Ale teraz wracaj do siebie, i to tak, żeby nikt cię nie zobaczył. Zanim zaczną schodzić się tłumy, zabiorę Stanleya na spacer.

Max naparł na nią biodrami.

– Jeszcze wcześniej. Gdybyśmy tak szybciotko...

Roześmiała się.

– Uciekaj!

Pocałował ją ponownie, tym razem czule, i wyszedł z pokoju.

Andy wzięła psa na ręce i cmoknęła go prosto w mokry nos.

– To jest to, Stan!

Podeksycytowany maltańczyk zaszczeakał, próbując się wyrwać, i musiała go puścić, żeby nie podrapał jej ramion. Na kilka cudownych chwil udało jej się zapomnieć o nocnym koszmarze, lecz zmora szybko powróciła wraz ze wszystkimi aż nadto plastycznymi szczegółami. Andy głęboko odetchnęła i przywołała na pomoc swój pragmatyzm: to tylko przedślubna trema. Niespokojny sen panny młodej. Klasyczny atak paniki, nic więcej.

Zamówiła śniadanie do pokoju i nakarmiła Stanleya jajecznicą na kawałkach tostów, odbierając jednocześnie telefony od rozemocjonowanej matki, siostry, Lily i Emily, które nie mogły się doczekać, kiedy Andy zacznie przygotowania. Potem wzięła psa na smycz i wyszła na rześkie październikowe powietrze, żeby pospacerować z nim, zanim rozpęta się piekło. Trochę się wstydziła, że ma na sobie frotowe spodnie od dresu z jaskraworóżowym napisem PANNA MŁODA na pupie, które dostała w prezencie na wieczorze panieńskim, ale w głębi duszy była z nich dumna. Wetknęła włosy pod czapkę baseballową, zawiązała adidasów, zaciągnęła zamek u polaru i jakimś cudem udało jej się wyjść na rozległy teren Astor Courts Estate, nie spotykając nikogo po drodze. Stanley skakał radośnie na króciutkich nóżkach, ciągnąc ją w stronę rosnących na skraju parku drzew, których liście mieniły się już wszystkimi kolorami jesieni. Spacerowali prawie pół godziny, wystarczająco długo, żeby wszyscy zaczęli się martwić, gdzie przepadła, ale chociaż powietrze było świeże, a pofałdowana łąka piękna, chociaż z podniecenia krę-

ciło jej się w głowie, nie mogła wymazać z pamięci twarzy Mirandy Priestly.

Jak to możliwe, że wciąż ją prześladowe? Przecież minęło prawie dziesięć lat, odkąd Andy uciekła z Paryża, porzucając wyniszczającą duszę posadę jej asystentki. Tak, to był straszny rok, ale od tamtego czasu bardzo wydorosła. Prawda? Zmieniła się. Wszystko się zmieniło, i to na lepsze: „Runway”, potem pierwsze lata niezależnego pisania, które – z czego była bardzo dumna – zaowocowały z czasem stałą posadą redaktorki pomocniczej ślubnego bloga *I żyli długo i szczęśliwie*. Kilka lat i dziesiątki tysięcy słów później udało jej się założyć i wprowadzić na rynek własne czasopismo, „Plunge”, piękny, ekskluzywny magazyn ilustrowany, który miał już trzy lata i wbrew wszystkim przepowiedniom naprawdę zarabiał pieniądze. Co więcej, zbierał liczne nagrody i nominacje, ciesząc się dużą popularnością wśród reklamodawców. A teraz, w wirze tych wszystkich zawodowych osiągnięć, wychodzi za mąż! Za Maxa Harrisona, syna nieżyjącego Roberta Harrisona i wnuka legendarnego Arthura Harrisona, który zaraz po wielkim kryzysie założył przedsiębiorstwo Harrison Publishing Holdings, by przekształcić je następnie w Harrison Media Holdings, jedną z najbardziej prestiżowych i dochodowych firm w Stanach Zjednoczonych. Max Harrison, przez wiele lat jeden z najbardziej pożądanych kawalerów w kraju, mężczyzna, który spotykał się ze wszystkimi Tinsley Mortimer i Amandami Hearst Nowego Jorku, a pewnie i z ich siostrami, kuzynkami i przyjaciółkami, jest jej narzeczonym. Wiedziała, że po południu zarozi się tu od burmistrzów i magnatów prasowych, którzy tylko czekają, żeby zgotować owację młodemu następcy tronu i jego wybrance. A co w tym wszystkim jest najlepsze? To, że go kocha. Jest jej najlepszym przyjacielem. Szaleje za nią, potrafi ją rozśmieszyć i docenia jej pracę. Czyż nie mówi się, że nowojorczyści są gotowi

dopiero wtedy, kiedy są gotowi? Mówi się. A Max zaczął wspominać o małżeństwie już kilka miesięcy po ich pierwszym spotkaniu. No i proszę: trzy lata później biorą ślub. Zganiła siebie w duchu za to, że marnuje czas na analizowanie tak idiotycznego snu, i wróciła z psem do apartamentu, gdzie czekał na nią pułk podekscytowanych i zdenerwowanych kobiet, które zaczynały już wpadać w panikę, najwyraźniej myśląc, że panna młoda w ostatniej chwili dała nogę. Wchodząc, usłyszała zbiorowe westchnienie ulgi, a Nina, jej konsultantka ślubna, natychmiast zaczęła wydawać polecenia.

Kilka następnych godzin pamiętała jak przez mgłę: prysznic, suszarka, wałki elektryczne, tusz do rzęs i warstwa podkładu, która wygładziłaby cerę każdej kipiącej hormonami nastolatki. Ktoś zajmował się jej butami, ktoś inny przyniósł bieliznę, ktoś trzeci zastanawiał się nad kolorem jej ust. Zanim zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, jej siostra Jill zdjęła z drzwi suknię ślubną i już sekundę później matka zaczęła ściągać na jej plecach delikatny materiał i zasuwać zamek. Babcia cmoknęła z zachwytem. Lily się popłakała. Emily wymknęła się do łazienki na papierosa, myśląc, że nikt nie zauważy. Andy próbowała to wszystko chłonąć. A potem została sama – tylko na kilka minut, bo zaraz miała przejść do wielkiej sali balowej – bo wszyscy poszli się przygotować. Przycupnęła więc na pikowanym antycznym krześle, niezdarnie i ostrożnie, żeby nie pognieść ani nie zniszczyć ani centymetra kwadratowego sukni. Za niecałą godzinę będzie żoną, kobietą zamężną, do końca życia oddaną Maxowi, tak jak on będzie oddany jej. Trudno to pojąć.

Zaterkotał telefon. Dzwoniła matka Maxa.

– Dzień dobry, Barbaro – powiedziała Andy najcieplej, jak umiała.

Barbara Anne Williams Harrison, Cóрка Rewolucji Amerykańskiej, potomkini nie jednego, ale aż dwóch sygnatariuszy konstytucji.

tucji, wieloletnia członkini rad nadzorczych wszystkich liczących się towarzystwo organizacji charytatywnych na Manhattanie. Od uczesanych przez Oscara Blandiego włosów po baleriny od Chanel zawsze była dla niej nienagannie uprzejma. Była nienagannie uprzejma dla wszystkich. Uprzejma, lecz nie wylewna. Andy próbowała nie brać tego do siebie, a Max twierdził, że coś sobie ubzduriała. Może na początku ich znajomości Barbara myślała, że Andy jest tylko kolejnym przelotnym flirtem syna? Potem wmówiła sobie, że znajomość Barbary z Mirandą zatrula i przekreśliła wszelką nadzieję na nawiązanie bliższych więzi uczuciowych z przyszłą teściową. Ale w końcu dotarło do niej, że Barbara po prostu już taka jest: chłodna i uprzejma dla wszystkich, nawet dla własnej córki. Nie wyobrażała sobie, żeby mogła nazywać ją „mamą”. Nie żeby ktoś ją do tego zachęcał...

– Dzień dobry, Andreo. Właśnie uświadomiłam sobie, że nie dałam ci naszyjnika. Od rana ścigam się z czasem tak rozpaczliwie, że spóźniłam się do fryzjera i na makijaż! Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że naszyjnik jest w aksamitnym pudełeczku w pokoju Maxa, w bocznej kieszonce tego okropnego worka. Nie chciałam, żeby obsługa go widziała. Może tobie uda się namówić go, żeby nosił coś bardziej godnego i dystyngowanego? Próbowałam Bóg wie, ile razy, ale on po prostu...

– Dziękuję, Barbaro. Zaraz tam zajrzę.

– Ani mi się waż! – zabroniła jej stanowczo Barbara. – Nie możecie się teraz widzieć, to przynosi pecha. Wyślij tam swoją matkę albo Ninę. Kogokolwiek. Dobrze?

– Dobrze, oczywiście.

Andy odłożyła słuchawkę i wyszła na korytarz. Już od dawna wiedziała, że łatwiej jest się z nią zgodzić i zrobić to, co chce, spieranie się do niczego nie prowadzi. To właśnie dlatego miała nosić

klejnot rodzinny Harrisonów zamiast „czegoś starego” od krewnych z jej strony: na żądanie Barbary. Miało go na ślubie sześć generacji Harrisonów, więc będzie go miała i ona.

Drzwi do pokoju Maxa były lekko uchylone i gdy weszła do środka, usłyszała szum wody w łazience. Typowe, pomyślała. Ja przygotowuję się od pięciu godzin, a on dopiero bierze prysznic.

– Max? To ja. Nie wychodź!

– Andy? – odezwał się z łazienki. – Co ty tu robisz?

– Przyszłam po naszyjnik. Nie wychodź, dobrze? Nie chcę, żebyś zobaczył mnie w sukni.

Poszperała w bocznej kieszeni worka. Pudełeczka tam nie było, ale natrafiła palcami na złożoną kartkę.

Była to kremowa kartka z papeterii Barbary, gruba i ozdobiona granatowym monogramem z jej inicjałami: BWH. Andy wiedziała, że Dempsey & Carroll, firma zajmująca się wytwarzaniem artykułów piśmienniczych, utrzymuje się na rynku głównie dzięki jej zakupom. Na ich papeterii, wciąż takiej samej, Barbara już od czterdziestu lat wysyłała znajomym życzenia urodzinowe, liściki z podziękowaniami, zaproszenia na kolację i kondolencje. Jako kobieta staroświecka i bardzo tradycyjna prędkiej by umarła, niż wysłałaby komuś jakże nietaktowny e-mail czy – o zgrozo! – SMS. Dlatego było zupełnie zrozumiałe, że w dniu ślubu syna napisała do niego odręczny list. Andy miała właśnie go złożyć i schować do kieszeni worka, gdy jej uwagę przykuło jej imię. I zanim zdążyła się zastanowić, co robi, zaczęła czytać.

Drogi Maxwellu

*Dobrze wiesz, że zawsze robiłam wszystko, by uszanować
Twoją prywatność, ale uznałam, że w kwestiach tak wielkiej
wagi nie mogę dłużej milczeć. Dzieliłam się z Tobą swoimi*

obawami już przedtem, a Ty ciągle obiecywałeś, że je rozwiążesz. Jednakże teraz, w obliczu nieuchronnie zbliżającego się ślubu, doszłam do wniosku, że nie mogę dłużej czekać i mam prawo mówić otwarcie i bez ogródek.

Błagam Cię, Maxwellu, nie żęń się z Andrea.

Nie zrozum mnie źle. Andrea jest miła i nie mam wątpliwości, że dla innego mężczyzny będzie dobrą żoną. Ale Ty, kochanie, zasługujesz na kogoś dużo lepszego! To musi być dziewczyna z porządnej rodziny, a nie z rodziny rozbitej, naznaczonej cierpieniem i rozwodami. Dziewczyna, która zrozumie nasze tradycje, nasz styl życia. Ktoś, kto przekaże nazwisko Harrisonów następnemu pokoleniu. A co najważniejsze, partnerka, która będzie stawiała Ciebie i Twoje dzieci ponad samolubnymi aspiracjami zawodowymi. Musisz to dobrze przemyśleć: czy chcesz, żeby Twoja żona wydawała jakieś tam pisma i ciągle wyjeżdżała w interesach, czy też pragniesz kogoś, kto najpierw myśli o innych i dba o filantropijne interesy rodu Harrisonów? Czy naprawdę nie chciałbyś mieć partnerki, której bardziej zależy na wspieraniu rodziny niż na realizowaniu własnych ambicji?

Mówiłam Ci, że to nieoczekiwane spotkanie z Katherine na Bermudach to znak. Och, jaki byłeś zachwycony, że znowu ją widzisz! Proszę, nie lekceważ tych odczuć. Decyzja jeszcze nie zapadła, nie jest za późno. Zawsze ją lubiłeś i adorowałeś, to oczywiste. Jeszcze bardziej oczywiste jest to, że byłaby dla Ciebie cudowną partnerką.

Zawsze byłam z Ciebie dumna i wiem, że Twój ojciec patrzy na nas z góry, pragnąc, byś podjął właściwą decyzję.

*Całuję Cię najczulej,
matka*

Szum wody ustał i wystraszona Andy upuściła list na podłogę. Gdy schyliła się, żeby go podnieść, zauważyła, że trzęsą jej się ręce.

– Andy! – zawołał Max z łazienki. – Jesteś tam?

– Tak – wykrztusiła. – Zaczekaj. Właśnie... właśnie wychodzę.

– Znalazłaś naszyjnik?

Andy znieruchomiała, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Czuła się tak, jakby coś wyssało z pokoju cały tlen.

– Tak.

Szuranie nogami. Znowu zaszumiała woda z kranu nad umywalką. I po chwili ucichła.

– Już? Muszę wyjść i się przebrać.

Błagam Cię, Maxwellu, nie żęń się z Andreeą. W jej uszach dudniła krew. *Och, jaki byłeś zachwycony, że znowu ją widzisz!* Powinna wpaść do łazienki czy wypaść na korytarz? Kiedy zobaczy go następnym razem, będą wymieniali się obręczkami na oczach trzystu osób, łącznie z jego matką.

Ktoś zapukał do drzwi. Nina, konsultantka ślubna.

– Andy? Co ty tu robisz? Boże, zniszczysz suknię! Przecież mieliście się zobaczyć dopiero przed ceremonią. Jeśli nie, to dlaczego nie zrobiliśmy zdjęć przedtem? – Jej nieustanne trajkotanie doprowadzało Andy do szału. – Nie wychodź, Max! Twoja przyszła żona stoi tu jak łania w świetle reflektorów. Zaczekaj! Jeszcze chwileczkę! – Podbiegła do Andy w chwili, gdy ta próbowała wstać, poprawiając jednocześnie suknię. – Moment, pomogę ci. – Pomogła jej wstać i wygładziła ręką syreni spód sukni. – A teraz chodź, idziemy. Koniec z tym nagłym znikaniem, słyszysz? Co to? – Wyjęła list z jej spoconej ręki i go podniosła.

Andy dosłownie słyszała, jak wali jej serce, i pomyślała, że zaraz dostanie zawału. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale ogarnęła ją fala mdłości.

– Boże, chyba zaraz...

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a może dzięki wieloletniej praktyce, w rękach Niny pojawiła się śmietniczka i zaraz potem Andy poczuła, że jej wyłożony plastikiem brzeg wrzyna się jej w szyję.

– No, już dobrze – jęknęła nosowo Nina i Andy dziwnie to uspokoiło. – Już dobrze. Nie ty pierwsza masz tremę i nie ostatnia. Lepiej podziękujmy naszej szczęśliwej gwiazdce, że nie zaplamiłaś sukni. – Delikatnymi dotknięciami wytarła jej usta podkoszulkiem Maxa i jego zapach, odurzająca mieszanina woni mydła i miętowo-bazyliowego szamponu do włosów – zawsze lubiła, kiedy tak pachniał – znowu przyprawił ją o mdłości.

Ktoś zapukał do drzwi. Do pokoju wszedł słynny fotografik St. Germain z pięknym młodym asystentem.

– Mamy uwiecznić przygotowania Maxa – oznajmił z trudnym do uchwycenia teatralnym akcentem. Na szczęście ani on, ani asystent nawet na nią nie zerknęli.

– Co się tam dzieje?! – zawołał z łazienki skazany na banicję Max.

– Nie wychodź! – krzyknęła władczo Nina. Spojrzała na Andy, która nie była pewna, czy zdoła pokonać trzydzieści metrów dzielących ją od swego apartamentu. – Trzeba poprawić ci makijaż i... Chryste, twoje włosy...

– Naszyjnik – szepnęła Andy. – Muszę wziąć naszyjnik.

– Jaki naszyjnik?

– Barbary, z brylantami. Zaczekaj.

Myśl, myśl, myśl. Co to znaczy? Co powinna zrobić? Zmusiła się, by podejść do tego ohydneho worka, na szczęście Nina uprzedziła ją i rzuciła go na łóżko. Szybko przetrząsnęła całą zawartość i wyjęła czarne aksamitne puderko z napisem „Cartier” na obrzeżu.

– Tego szukałaś? – spytała. – Dobra, chodźmy.

Wyciągnęła ją na korytarz. Kazała fotografom uwolnić Maxa z łazienki i zamknęła drzwi.

Andy nie mogła uwierzyć, że Barbara nienawidzi jej tak bardzo, iż nie chce, żeby Max się z nią ożenił. Co więcej, że znalazła dla niego lepszą kandydatkę: Katherine, która była „bardziej odpowiednia” i „mniej samolubna”. Tę, która – przynajmniej według niej – wymknęła mu się z rąk. Andy wiedziała o niej chyba wszystko. Katherine była spadkobierczynią fortuny von Herzogów i z tego, co pamiętała z bezustannego początkowo googlowania, podrzędną austriacką księżniczką, którą rodzice wysłali do elitarnej prywatnej szkoły średniej w Connecticut, gdzie uczył się Max. Zrobiła dyplom z historii europejskiej w Amherst, gdzie przyjęto ją po tym, jak jej dziadek – podczas drugiej wojny światowej popierający hitlerowców austriacki arystokrata – podarował władzom college’u tyle pieniędzy, że jeden z tamtejszych akademików nazwano imieniem jego zmarłej żony. Max twierdził, że Katherine jest zbyt sztywna, zbyt układna i ugrzeczniona. Ona jest nudna, mówił. Za bardzo tradycyjna, za bardzo dbająca o pozory. Ale dla czego chodził z nią z przerwami przez pięć lat, tego wytłumaczyć nie umiał, i Andy zawsze podejrzewała, że coś się za tym kryje. Najwyraźniej miała rację.

Ostatni raz wspomniał o Katherine, kiedy zamierzał zadzwonić do niej z wiadomością o zaręczynach. Kilka tygodni później dostali od niej piękną kryształową wazę od Bergdorfa z liścikiem i życzeniami dożgonnego szczęścia. Emily, która знаła ją przez swojego męża Milesa, przysięgała, że nie ma się czym martwić, bo Katherine jest nudna i sztywna i że chociaż ma „niezły tyłek”, Andy bije ją na głowę pod każdym względem. Od tamtej pory Andy o tym nie myślała. Każdy ma jakąś przeszłość. Czy była dumna ze zna-

jomości z Christianem Collinsworthem? Czy odczuwała potrzebę podzielenia się z Maxem wszystkimi szczegółami swego związku z Alexem? Oczywiście, że nie. Ale przeczytany w dniu ślubu list, w którym przyszła teściowa błaga syna, żeby ten zamiast panny młodej poślubił swoją byłą dziewczynę, to zupełnie co innego. Dziewczynę, którą „był zachwycony” na wieczorze kawalerskim na Bermudach, o czym zapomniał jej napomknąć, bo najwyraźniej tak mu było wygodniej.

Andy potarła czoło, próbując zmusić się do myślenia. Kiedy Barbara napisała ten wredny list? Dlaczego Max go zachował? I co to znaczy, że widział się z Katherine zaledwie półtora miesiąca temu i nic jej o tym nie powiedział, racząc ją w zamian szczegółowymi opowieściami o opalaniu się, grze w golfa i stekach na kolację? Musi być jakieś wytłumaczenie, po prostu musi. Tylko jakie?